

Warszawa dnia 8/20 Maja 1868 roku.

Nr 20. | Cena w Warszawie 20 kop. miesięcznie.—Cena na prowincji w opaskach 75 kop. w kopertach Rs. 1. kwartalnie. Redakcja i Ekspedycja Główna przy rogu ulicy Leszno i Solnéj pod Nr. 715. | Rok IV.

TREŚĆ. Mojżesz, przez *Alojzego Kuczyńskiego* (z drzeworytem).—Na straży uczucia, poezja, przez *Franciszka Gumowskiego*.—Na gorącym uczynku, kartka z kroniki kryminalnej, przez *Wołodego Skibę* (ciąg dalszy).—Kassy groszowe, przez *Aleksandra Makowieckiego*.—Malwina przez *Fr. G.*—Sikora (z drzeworytem.)—Rozmaitości.—Korenspodencje od Redakcji Opiekuna Domowego.

MOJŻESZ.

Mojżesz, to najwybitniejsza postać starożytnego świata, jaśnieje ona blaskiem nieustającym przez 25 wieków i jaśnieć nieprzestanie, dopóki ludzkość istnieć będzie. Bo Mojżesz to posłaniec Boży, wyobraziciel i wykonawca zamiarów Przedwiecznego.—Prorok, który działał i pisał z natchnienia Ducha Świętego.

Mojżesz, po dokonaniu licznych cudów, udowadniających jego wyższe posłannictwo, wyprowadził lud Izraela z niewoli Egipskiej; podczas czterdziestoletniego pobytu w drodze do ziemi obiecanej, wzmocnił wiarę w prawdziwego Boga, obdarzył prawem określającem dokładnie obowiązki człowieka względem Stwórcy i bliźniego, opowiedział dzieje o początku świata i ludu hebrajskiego—słowem, utrwalił zasady społeczne w narodzie, które przetrwały srogie burze i prześladowania i dotąd w swojej mocy się zachowują, pomimo że lud od dawna po utracie bytu samoistnego, tuła się rozproszony po obszarze ziemskim; pomimo że Syn Boży, burząc szańce niegdyś konieczne dla odgraniczenia i zachowania w stanie niezepsutym wybranej przez Boga narodowości, na Golgocie wyciągnął krwią swoją uświęcone ramiona ku całej ludzkości, powołując i inne narody do przyjęcia udziału w Królestwie Bożem.



Znalezienie Mojżesza przez córkę króla Faraona.
(Rysunek ś. p. Rudzkiego, drzeworyt Sznagego).

Samo życie Mojżesza zanadto jest znane wszystkim, dla tego w krótkich tylko wyrazach przypomnimy je czytelnikom naszym.

Mojżesz urodził się około r. 1600 przed Chrystusem w Egipcie. Matka jego, powodowana rozkazem króla Faraona wymordowania dzieci żydowskich płci mezkiej, syna swego wyniesionego w koszyku ukryła w sitowie nad brzegami Nilu. Królewna usłyszawszy kwilenie, kazała je wziąść i do wykarmienia oddała nie wiedząc o tem, matce jego. Tak tedy we dworze królewskim wzrastał Mojżesz, kształcąc się w naukach, dopóki bojąc się odpowiedzialności za zabicie Egipcjanina, który się pastwił nad jednym Izraelitą, nie uciekł do kraju Midian. Następnie z woli Bożej, wyprowadził żydów z Egiptu; napróżno gonił ich król Faraon i utonął wraz z wojskiem swojem w morzu Czerwonem. W czasie swojej wędrówki, zdobywszy część kraju z tej strony Jordanu, ujrzał z góry kraj obiecany i umarł.

Z ludzi najwspanialszy mu pomnik wystawił Michał Anioł Buonaroti. Miał on stanowić część grobowca Juljusza II Papieża, zakreślonego w rozmiarach tak wielkich, jakich dotąd nie oglądano. Niestety z całego planu wykonany tylko został jeden posąg Mojżesza.

Wejdź do kościoła Świętego Piotra w Okowach w Rzymie, i tam przy nadchodzącej nocy, przy niepewnem świetle zmierzchu, przypatrz się temu nadludzkiemu zjawiskowi, a będziesz zdjęty jednym z tych przestrachów, jaki na wyobraźnie gorączkowe sprowadza czytanie Apokalipsis

Prorok ten siedząc z powagą majestatyczną, opiera jedną rękę na tablicy prawa, druga jest odprowadzona naprzód z zaniedbaniem dumnem człowieka, na którego jedno brwi zmarszczenie tłumy się korzą; broda gęsta i wiekowa rozlewa się w falach po jego piersi szerokiej, jak potok gdy z brzegu wystąpi. Charakter wiejski i pierwotny tego wielkiego pasterza ludów, piętnuje na każdym muszkule jego ciała, w każdym zgięciu jego sukni. To skojarzenie energji dzikiej i siły używotnej, nadaje powierzchowności kolosu jakiś dziwny wyraz przestrachu

Alojzy Kuczyński.

NA STRAZY UCZUCIA.

Cóż ja zrobię, kiedy słyszę
Jak niejeden już powstaje,
Jak przyjaciel nawet łaje,
Że miłosną piosnkę piszę.
Lecz wam bracia co do tego,
Po co mącić wód kryształy,
Czy to miłość jest co złego,
Czy przyniosła wam zakały:
Jakieś duchy z gwiazd strącone,
W imię dobra, prędzej z mody,
Narzekają w każdą stronę,
Że poeta dzisiaj młody
O miłości często śpiewa.
I tak każdy z nich się gniewa,
Jakby święta owa cnota
Nieszczęść jakich niosła brzemię,
Potępienia niosła wrota,
Lub zdruzgotać miała ziemię.
Nie to, nie to — miły bracie,
Lepiej przyznać się do winy,
Że miłości wy nie znacie,
Więc kładziecie pod nią miny.
W waszych piersiach głucho, cicho,
W waszych oczach brak zapału,
Wasze serce jakieś licho
Psuje, toczy niepomału.
Wam się zdaje, że dziś trzeba
Ideałów zdeptać szaty,
I z ludzkiego uczuć nieba,
Wykorzenić wszystkie kwiaty;
Bo to rzeczy dla zabawy,
To dziecinna tylko cnota,
Nie dająca trzosów złota,
Nie dająca łyżki strawy.
Patrzcie mędrki — wasze słowa
Co zdziałały dookoła,
Aż się gniewem wstrząsł Jehowa
I odwołał ztąd anioła.
Patrzcie, wstyd wam, patrzcie przecie,
Jak mężczyzna i niewiasta,
W takt nauce waszej wzrasta;
Patrzcie, nawet małe dziecię
Już rozumie was — niestety,
A siostrzyce a kobiety,
Mimo wdzięki i wiek młody,
Rosną niby zimne lody;
I gdy wspomnisz im z zapałem
O uczuciach głębin duszy,
Ramionami każda wzruszy,
A uczucie nazwie szałem.
Jeden tylko w całem ciele
Zostawiacie nerw co pali,
Niby węgiel przy popiele,
Niby wagę cnót na szali.
Nerw ten wiecie jak się zowie,
Bo wam niszczy życie — zdrowie,
Niewinności zdziera szaty,
Ha, wypowiem: *assygnaty!*
Mędrcy, mędrcy, wy przeklęci,
Za opaczne te nauki
Was przeklinać będą wnuki
I ojcowie wasi święci;
Was się wyprze łono ziemi,
Wam przestaną lasy szumieć,
Że nie chcecie raz zrozumieć,
Iż my dziećmi tu Bożemi.
Ale może się unoszę,
Może zbytnio się kłopocę?
Więc mi wskażcie, szczerze proszę,
Z waszych doktryn gdzie owoce?
Cóż wy na to?... ha, milczycie,
Nie powiodły się wam trudy
I ściskacie pięście skrycie,
Żem z was maskę zdarł obłudy.
Cóż wy na to?... milczą jeszcze,
Duch ciemności chce ich bronić,
Skrzydłem złego wciąż szeleszczę,
Aby prawdę im zasłonić.
Lecz wnet za was sam odpowiem,
A choć obraz ten mnie trwoży,
Przybądź, przybądź duchu Boży,
Słowo moje natchnij zdrowiem;
Niech nie rani, nie kaleczy,
Tylko blizny niech uleczy.
Patrzcie mędrki, z waszej winy
Jakie sterczą tu ruiny:
I dziewice i młodzieńce,
Chodzą niby zwiędłe wieńce;
Ojce, matki i ich dziatki,
Jak zdeptane nogą kwiatki;
Nawet siwy włos starości,
I rodziny święte koło,
Nad rachubą ściera czoło,
By żyć tylko bez miłości.
Bez miłości, — czy wy wiecie
Czem jest życie na tym świecie?...
Jest pustynią bez oazy,
Tłem do wszelkiej plamy, skazy,
Wieczną zimą bez zieleni,
Krajem bez wód i strumieni,
Sercem bez łez, suchem okiem,
Ciągłą ciszą, ciągłym zmrokiem,
Dniem bez słońca i jasności, —
Tem jest życie bez miłości.
I są ludzie między nami,
Jest ich wielu — nawet krócie,
Co śmią wzruszać ramionami,
Gdy im wspomnisz o tej cnocie.
I poeta kiedy młody
O miłości piosnkę śpiewa,
Wnet powstają choćby z mody,
I tak każdy z nich się gniewa,
Jakby święte to uczucie
Niosło światu chwil zatrucie.
Może chcecie, aby głosy
Dobył piewca namaszczone
I opiewał wasze trzosy,
Wasze skrzynie przepełnione?
Ognia! ognia! niech te lutnie
Coby hańbić się tak miały,
Porozrywam wprzód w kawały,
Potem spalę jak wyrzutnie,
Jak zaprzańce z piętnem sromu.
A ty harfo moja droga,
Zagrzmij w struny naksztalt gromu
I melodją aż do Boga
Popłyń — unieś w swoich tonach
Mego ducha nad błękity,
Ponad wszystkich światów szczyty,
Tam gdzie gwiazdy w miljonach
Skrzą się jako niebios dzieci;
Tam za tobą duch mój wzleci,
I z tych potęg i z tych światów,
Wciągnie iskry w pierś wezbraną,
Wszystkie barwy cudnych kwiatów
I dopiero zapomnianą,
Z onej świętej wysokości,
Pieśń zaśpiewam o miłości.

Boże Ty mój, toć to właśnie
Gdy się szczęścia rwą ogniwa,
Kiedy jasna gwiazda gaśnie,
Miłość jedna nam przybywa;
Ona jeszcze swym promieniem,
Jak pod czarów jakich tchnieniem,
Skroń i serce nam umaja,
Niepojętą roskosz sączy,
Niebo z ziemią prawie spaja,
I człowieka z Bóstwem łączy.
O, niech wkoło gromy biją,

Niech pierś czarną troska toczy,
Niech się ciernie w czoło wpiją,
Nic to — człowiek nie upadnie,
Jeśli dojrzeć zdoła na dnie
Dłoń miłości wyciągniętą,
Szczerą, prawą, wielką, świętą.
Miłość — to raj, to niebosa,
To w kielichach kwiatów rosa,
To cudownej woni wiosna,
To słowicza pieśń radosna,
To kastalskich wód krynica,
To aniołów tajemnica;
To królowa tak wielmożna,
Że określić jej nie można;
A co w sobie chowa treści,
Jakie czyny, jakie dzieje,
Co obrazów, co powieści,
Aż się dusza do nich śmieje.

Czy widzicie w tej wiosczynie
Oną chatkę pochyloną?
Jak tam życie słodko płynie,
Jak tam chwile błogo toną!
Wieczór — cisza — a na ławie
Siadł gospodarz uznojony,
Okiem wodzi na wsze strony
I przygląda się zabawie
Swoich malców, jak po ziemi
Kroczą nóżki drobniutkiemi,
Jak na kruczku bezustanku
Jeżdżą niby na kasztanku;
Jak się gonią, za piec włażą,
Jak się cisną te robaki
Gdy poczują, że się smażą
Specjały ich—ziemniaki;
A gosposia przy kominie
Gdy fartuszkiem się owinie,
Ogień nieci i poprawia,
Gdy wieczerzę już nastawia,
Męża, dziatwę ucałuje,—
To aż serce się raduje.
Atam przecież nie ma złota,
Nie ma bogactw — kosztowności,
Tylko praca i ochota,
Tylko święty czar miłości.

Czy widzicie: ojciec, matka
Od boleści jęcząc leżą,
I już w życie swe nie wierzą,
Bo grosz wyszedł do ostatka,
Nędza zaraz ich otoczy
I śmierć zajrzy w szklanne oczy.
Ale w drugim pokoiku,
Sama jedna — tam w kąciku
Blada, smutna, pochylona,
Córka kończy jakąś pracę,
Wreszcie wstała załzawiona
I pobiegła gdzieś po płacę;
I przyniosła grosz i leki,
I objęła swe rodzice,
A całując w nogi, w lice,
W ręce, w głowę i powieki,
Zbudziła w nich serca bicia
I przywiodła znów do życia.
A syn, niby poseł z Nieba,
Krusząc cały dzień kamienie,
Stawia oto pożywienie
Z ciepłej strawy, z kromki chleba;
I Bóg wejrzał z wysokości
Na to gniazdko, na rodzinę,
I odwrócił złą godzinę,
Błogosławiąc ich miłości.

Patrzcie, patrzcie — to młodzieniec,
A to jego jest dziewica.
Jak im ogniem płoną lica.
Jak im krasi twarz rumieniec,
Jak podają sobie dłonie...
Snać im Niebo wieńczy skronie,
Bo co szepnie do niej słówko,
Ta odpowie tylko główką
I uśmiechnie się tak mile,
Że tych śmiechów wielkiej sile,
Kto zasłużył kiedy na nie,
Nikt się oprzeć nie jest w stanie.
Albo jeśli jasne oczy
Zwróci czasem na chłopaka,
To dziw z skóry nie wyskoczy!
I w tej chwili, gdyby jaka
Myśl jej przyszła do pamięci,
Wszystko spełniłby młodzieniec,
Do wszystkiego miałby chęci:
Wiłby dla niej z gwiazdek wieniec,
Ziemię w Niebo by zamienił,
Zło i zbrodnie by wyplenił,
Byłby królem, bohatérem,
Kierowałby świata sterem;
Bo wszechwładna skra miłości—
Jest potęgą wśród ludzkości.

Więc precz z głosem, że dziś trzeba
Ideałów zdeptać szaty,
I z ludzkiego uczuć nieba,
Wykorzenić wszystkie kwiaty.
Niech tam mędrki krzyczą z mody,
Niech filantrop wciąż się gniewa,
Że poeta jeszcze młody
O miłości światu śpiewa.
Wy dziewice i młodzieńce,
Nie na próżno serce macie,
Nie napróżno te rumieńce,
Przeto wyschnąć im nie dacie;
Ale strojni w wielkie cnoty,
W każdej chacie i rodzinie,
Kędy tylko życie płynie,
Wić będziecie cudne sploty
Tej miłości, co swym wpływem
Wielkich czynów jest ogniwem,
Co w bluszcz wieczny nas umaja
I nad ziemską roskosz sączy,
Co z ziemicą Niebo spaja
I człowieka z Bogiem łączy.

Franciszek Gumowski.

NA GORĄCYM UCZYNKU.

Kartka z kroniki kryminalnej.

(Ciąg dalszy.—patrz N. 18-ty).

V.

Zbytecznem byłoby mówić, że sprawa ta narobiła wielkiego hałasu w Warszawie. Pisma publiczne wprawdzie w lakonicznych bardzo wyrazach doniosły o niej, podając tylko sam fakt i krótką wzmiankę, że „podejrzany o popełnienie zbrodni aresztowanym został,"—ale fama szeroko wieść o szczegółach przyaresztowania i osobie poszlakowanego rozniosła. Z ust pana Sotera fakta owe przeszły do lokatorów jego domu, od nich rozpowszechniły się po Nadwiślu, klijenci pana Fiksza podowiadywali się o niej podczas operacji z zarostem i zakomunikowali ją szerokiemu kołu swoich przyjaciół. Tym sposobem miasto jak najdokładniej zostało zawiadomione o tem co zaszło, a że wiecie jak to zwykle z wieściami bywa, rosła w przelocie,—wszyscy więc byli przekonani: że mordercę ujęto na gorącym uczynku. Przeciw tej ogólnej opinji protestowali wprawdzie ci co zbliska lub zdaleka znali Opędzkiego i jednomyślnie utrzymywali, że aresztowany nie był bynajmniej zdolnym do popełnienia podobnego czynu; ci jednakże byli w mniejszości, większość bowiem zawsze i wszędzie bardziej jest skłonną do widzenia w poszlakowanym winnego niż niewinnego

Więzień nasz miał więc nawet opinją publiczną przeciw sobie, co przy zbiegu innych poszlak, wiele także zaważyć mogło.

Sprawy kryminalne u nas nie budzą takiego zajęcia jak to ma miejsce zagranicą i przechodzą zazwyczaj niepostrzeżone głównie dla tego, że ciekawość publiczna nie ma gdzie czerpać wiadomości o ich przebiegu i przejawach. Fakt sam krzyczącej, ciężkiej zbrodni, zwraca uwagę i wywołuje rozmowy, które jednak niepodsycane niczem, wkrótce cichną i ustają. Procedura trwa zwykle długo, wyroków nie ma zwyczaju ogłaszać, a ogłoszenie ważniejszych przychodzi zwykle wówczas, gdzie już o samej sprawie najzupełniej zapomniano.

Tak samo stało się i tutaj. Po kilku dniach, po tygodniu najdalej, miasto zaprzątnięte drobnostkami swego codziennego żywota, zaprzestało zajmować się zabitym i poszlakowanym i cisza głucha zaległa o sprawie.

Władze nie zasypiały jej jednakże, robiły śledztwo, ściągały zeznania, sprawdzały i rozpoznawały poszlaki.

Mozolna ta praca nie doprowadziła do żadnego

stanowczego wypadku co do wykrycia osoby zabitego, nie była przecież bez praktycznego rezultatu. Z każdym dniem mnożyły się przychylne Opędzkiemu świadectwa. Nikt wprawdzie nie zaprzeczał, że uwięziony był człowiekiem lekkomyślnym i nie oglądającym się na jutro,—z drugiej strony jednakże, wszyscy ci co go znali lub z nim mieli stosunki energiczne utrzymywali, że nie był zdolnym do zbrodni. Wszystkich których powoływano do zeznania, pytano się czy nie wiedzą gdzie poszlakowany mógł przepędzić wieczór poprzedzający zbrodnią, czy nie mogą objaśnić w jaki sposób dostały mu się sztuki złota, które znaleziono przy nim,— nikt jednak w tym względzie nie mógł dać odpowiedzi, któraby jakiekolwiek światło rzuciła na znaczenie i pobudki milczenia, jakie w tym względzie zachowywał Opędzki. Sprawiedliwość dochodziła wszystkiego i w niczem nowych poszlak nie odkrywała, tego jednego zbadać i rozjaśnić nie mogła, co więźnia do tajemnicy zmusza, zwłaszcza w rzeczy, w której tajemnica tak jest dla niego niebezpieczną.

W liczbie przesłuchanych znajdowała się także pewna bardzo zacna rodzina, której zeznanie z tego względu było nadzwyczaj ważnem, że Opędzki miał wkrótce zostać jej członkiem. Przyszły teść, jego żona i córka, która niedługo miała się połączyć związkiem małżeńskim z poszlakowanym, jednomyślnie także zeznali: że im pewna płochość Opędzkiego nie była tajną, że jednak byli przekonani, iż z zawiązaniem rodzinnego życia ustatkuje się i na ołtarzu miłości złoży to wszystko, w czem za kawalerskiego życia zasmakował. Z ich zeznania wypadło, że poszlakowany nie mógł mieć żadnego interesu w spełnieniu zbrodni bo niepotrzebował pieniędzy, a wchodząc w nader dostatnią rodzinę, mógł się nie troszczyć o przyszłość.

Zeznanie to stanowczo oddziałało na usposobienie prowadzących śledztwo i przekonało ich prawie zupełnie, że Opędzki jest niewinnym. W istocie niepodobna rozsądnie przypuścić, żeby człowiek mający z czego żyć, mający w domu dość znaczną summę pieniędzy, nieposzlakowanego dotychczas postępowania, mógł się dopuścić zabójstwa dla zrabowania kilkunastu dukatów, na miesiąc ledwie przed ułożonym już ślubem z osobą mającą mu przynieść z sobą posag kroćiowy.

Formalne tylko zeznanie dwóch świadków naocznych sprzeciwiało się uwolnieniu aresztowanego, postanowiono zatem raz jeszcze powołać pana Kukulego i pana Fiksza.

Obydwaj naturalnie mogli tylko powtórzyć swoje zeznania; tą razą przecież zaczęto im zadawać pytania, na które jako zeznający według sumiennego przekonania, musieli odpowiadać na korzyść obwinionego.

W zeznaniu ich tym razem nacisk główny zwrócił się na to, że obaj nie widzieli żeby Opędzki zabijał lub rabował zabitego; że jakkolwiek sądzą iż jest mordercą, nie mogą przecież zaprzeczyć, że zeszli go w pozycji która pozwalała przypuszczać, iż niósł pomoc zabitemu; że zapytany czy on jest zabójcą? odpowiedział tylko prostym wykrzyknikiem: „ja!” w którym wprawdzie oni uchem nie uchwycili odcieni zdziwienia lub pytania, o którym jednak tylko sumienie jego powiedzieć może, czy nie był zdziwieniem lub pytaniem; że natychmiast potem, gdy mu pan Fiksz podsunął myśl powiedzenia, iż był napadnięty i bronił się tylko, zaprotestował przeciw temu wyraźnie i twierdził uroczyście: iż ani go nie napadano, ani się nie bronił, ani zabójcą nie był; że nakoniec choć się w dziwny sposób wykręcał od pójścia razem z nimi do komisarza, przecież gdy się im wyrwał z rąk nie myślał ratować się ucieczką, coby mu przy ciemnej nocy nie było trudnem.

Tak uzupełnione zeznania panów Antoniego i Sotera, traciły bardzo wiele na swej ważności. Znalazło się przytem wiele jeszcze okoliczności, które na korzyść poszlakowanego mówiły. Zaraz u komisarza zeznał, iż tylko w pierwszej chwili zdawało mu się, że dwaj świadkowie wmawiający weń zbrodnię czynią to chyba dla tego, żeby z siebie zrzucić odpowiedzialność, ale nie obstawał bynajmniej przy tem przypuszczeniu, gdy tymczasem prawdziwy zbrodniarz starałby go się trzymać do ostatka; dalej przy aresztowaniu nie stawiał najmniejszego oporu, w ciągu śledztwa przyznawał się do rzeczy, które rzeczywisty zbrodniarz taiłby musiał, chociaż był w takiem położeniu, iż mógł zamilczeć o takich szczegółach, jak nabycie złota lub znajomość zabitego z widzenia. Nikt ze znających go nie widział w jego posiadaniu noża którym popełnione było zabójstwo i nikt nie zeznał, żeby go kiedykolwiek widywał w towarzystwie zabitego.

Poszlaki niewinności rzucone na szalę poszlak winy, przechylały ją stanowczo na stronę dla obwinionego korzystną. Podejrzenia jakie spadały na niego, rozwiewały się w obec najważniejszego dowodu — nieprawdopodobieństwa i brak interesu w popełnieniu zbrodni.

Widząc że oskarżenie utrzymać się nie da, postanowiono go uwolnić.

Drugi tydzień dobiegał od chwili przyaresztowania, gdy drzwi od celi Opędzkiego otworzyły się o niezwykłej godzinie.

— Jesteś pan wolny—rzekł do niego wchodząc nadzorca więzienia.

Więzień nie okazał ani nadzwyczajnego zdziwienia, ani wielkiej radości.

— Nareszcie, — rzekł głosem który zdawał się mówić, że był pewnym iż to nastąpić musi, tylko mu się czekać nudziło i bezzwłocznie potem dodał: — więc złapano prawdziwego zabójcę?....

— Nie — odpowiedział zwiastun wolności.

Czoło Opędzkiego zmarszczyło się, posmutniał. Rzeczywiście winny wydostając się z więzienia nie pomyślałby nawet o tem co mu w tej chwili na myśl przyszło.

— Jakto?... więc uwalniają mnie tylko dla braku dowodów — zawołał zaniepokojony.

— Bynajmniej, panie. Dla braku dowodów wyrok sądowy tylko uwolnić może: pana zaś wypuszczają, bo poszlaki jakie były przeciwku panu uznane zostały za nic nieznaczące i musiano odstąpić od oskarżenia.

— To jeszcze — odrzekł bardzo mało pocieszony więzień, — chociaż i to mnie boli... dopóki się nie znajdzie rzeczywisty winowajca, zawsze się znajdą ludzie, którzy mnie podejrzywać będą.

— Czyste sumienie będzie dla pana świadectwem... — zaczął, pragnąc go pocieszyć nadzorca.

— Ba! proszę pana — przerwał Opędzki,—gdybyśmy to tylko z sumieniem żyć potrzebowali na tym świecie, ale kiedy musim żyć z ludźmi, bo niedosyć tego że sobie sami nic do zarzucenia nie

mamy, potrzeba nam jeszcze poczciwej opinji u innych....

To mówiąc zabrał swoje rzeczy, oddał je posługaczowi do odniesienia i wyszedł.

Przed opuszczeniem murów domu badań, potrzeba było jeszcze udać się do kancelarji więziennej po odbior pieniędzy i innych odebranych przy aresztowaniu przedmiotów.

Poproszony ażeby się tam zwrócił, więzień zastosował się do wezwania i wkrótce znalazł się w jednym z kilku pokoi stanowiących bióro.

Kilku urzędników w milczeniu pracowało przy stołach, do jednego z nich nadzorca przyprowadził Opędzkiego i powiedziawszy mu tylko, że tutaj należące do siebie przedmioty i pieniądze odbierze, pozostawił go z urzędnikiem, który natychmiast zabrał się do robienia potrzebnych zapisów i wykreśleń w księgach.

W czasie tej czynności wszedł do kancelarji ktoś obcy, zupełnie Opędzkiemu nieznany. Był on jednym z członków komissji zajmujących się śledzeniem jego sprawy; w zakresie jego działania leżały jednak tylko poszlakowania co do osoby zabitego i dlatego z poszukiwanym najmniejszego nie miał stosunku. *(d. c. n.)*

KASSY GROSZOWE.

Kropla wody jest małą—a przecież z nieobliczonych miljardów tych kropel, powstają wielkie rzeki, większe morza i jeszcze większe oceany; ziarnko piasku jest małe—a zbiór ich jednak stanowi całe włóki piasków, całe mile, całe puszcze i pustynie niezmierzone okiem; ziarnka roślin są także niewielkie—a jakież to z nich wyrastają duże buraki, rozłożyste grusze i w Niebo strzelające topole; tak samo i grosz jest pieniążkiem drobnym i mało wartym—a jednak z tych maluczkich groszaków składają się sta, tysiące i miljony bogaczów. Przedmiot drobny sam w sobie i mało znaczący, staje się ważnym gdy połączy się z innym sobie podobnym, lub gdy umieszczonym będzie w położeniu sprzyjającem jego rozrostowi. Gdyby kropla wody niepołączyła się z innemi kroplami tylko padła samiutka na ziemię—wyschłaby niebawem działaniem ciepła słonecznego; gdyby ziarnko piasku nieułożyło się obok podobnego sobie towarzysza, zniknęłoby bez śladu śród fali wód lub śród uroczej zieleni łanów; gdyby nasienie buraka i topoli lub pestka gruszki zamiast dostać się do zwilżonej deszczami i ogrzanej ciepłem roli padły na kamień,—uschłyby niezawodnie; tak samo i grosz gdyby sam jeden przebywał sobie w kieszeni, byłby zawsze tylko groszem, za który ledwie szczyptę soli lub dzwonko śledzia możnaby dostać. Dopiero gdy do tego jedynaka grosza zaczną przybywać inne grosze, zaczyna on przybierać inną wyższą wartość i już on posłuży nietylko na kupno szczypty soli i kawałka śledzia, ale nawet do kupienia nożyc, igieł, żelazka, stołu i węgla dla krawca; warsztatu, pił, heblów, dłutów, raszpli, drzewa i fornirów dla stolarza; młotów, kowadła, miecha, pilników, cęgów, żelaza i węgla dla kowala i t. d, innym znów posłuży do założenia jakiego sklepiku lub dania dzieciom stosownego wychowania szkolnego.

Ażeby jednak składając grosz do grosza przyjść do summki, za pomocą której możnaby się dorabiać majątku na świecię, potrzeba koniecznie wynaleść środek niepozwalający na wydatkowanie uzbieranych pieniędzy. Zdaje się, iż najlepszym środkiem byłaby mocna wola nie wydawania bezpotrzebnie pieniędzy. Ale mocna wola jest przymiotem bardzo trudnym, a pokusy zawsze czychają na naruszenie bezpieczeństwa naszych kieszeni; zawsze coś wlezie w oczy co się podoba i póty nęci a wabi a przymila się, iż w końcu człek niewiadomo kiedy i jak, wydobywa odłożony grosz ze skrzyni i dalejże puszczać go świat. Ale pieniądz wydany nie wraca już więcej, przedmiot wabliwy niszczeje i mało lub wcale niedaje pożytku, a projektowany fundusz który miał posłużyć do wyrobienia się w świecie, rozwiał się jak mgła poranna. Zachowywanie zatem pieniędzy przy sobie, zawsze niedozwala na czynienie oszczędności. Jedynym więc sposobem odsunąć od siebie pieniądze aby kto nieskusił nas do wydania takowych. Chcąc atoli zaoszczędzone grosze oddać komuś, potrzeba zapewnić się czy ten ktoś nie narazi nas na straty.—Oddać je znajomemu łatwo, ale odebrać od znajomego trudno; ten nas znajomy nie żaden bogacz, bo bogacz toby groszy na skład do siebie nie przyjmował, więc jak nie bogacz, to może stracić także na jakieś pokusy nawet może i bezwiednie i mimowolnie, a straciwszy, biedak to choćby i najuczciwiej myślał, nie ma z czego zwrócić i nasze oszczędności przepadają jak wiatr w polu.

Otóż dla zapobieżenic takim niedogodnościom i stratom, w całej prawie Europie pozakładano *kassy oszczędności*, gdzie każdy może składać swe odłożone pieniądze, nie tylko że ich może odebrać prawie na każde zawołanie, ale mu jeszcze od tych pieniędzy płacą procenta. U nas są także takie kassy oszczędności tak w Warszawie jak i na prowincji, chociaż te na prowincji mało jeszcze są ocenione przez ludność naszą. Kassy jednak oszczędności które są kassami rządowemi, przedstawiają jedną dla ubogiej ludzkości dość ważną przeszkodę—a mianowicie przyjmują od jednej osoby na raz jeden najmniej tylko złotówkę czyli 15 kop sr.; owóż nie wszyscy są w stanie odłożyć od razu złotówkę, ale mogą odłożyć za to z łatwością 2 grosze. Czekając zatem nim się zbierze z tych dwugroszniaków złotówka, zdarzyć się mogą bardzo często owe łudzące okoliczności, które grosz z kalety wyciągają i każą bardzo długo czekać na zebranie całkowitej złotówki. Przypadki takie zauważyli dobrze ludzie i postanowili temu zaradzić przez założenie kassy mniejszej, któraby przyjmowała wszelkie składki od grosza zacząwszy, i któraby dopiero po zebraniu z owych groszowych składek złotówki, wnosiła takową do rządowej kassy oszczędności. Te mniejsze kassy urządziło w Warszawie Towarzystwo Dobroczynności i jest ich już 14 pod nazwą *kass groszowych*. Że ludność biedniejsza a chcąca zaoszczędzać, zrozumiała że kassy groszowe są dla jej dobra, dowód można znaleść wciągłem powiększaniu się liczby kass groszowych i w dość znacznej liczbie uczęstników tychże kass. I tak: z końcem roku

1864	było uczestn. kass	4,516	z funduszem rs.	2,016.
1865	„ „ „	4,932	„ „	2,564.
1866	„ „ „	4,877	„ „	2,503.

a prócz tego Towarzystwo wniosło do rządowej Kassy Oszczędności:

wr. 1865 rs. 6,893, a w r. 1866 rs. 8,812.

Działalność zatem kass groszowych pomimo biedy trapiącej nas wszystkich, wzrasta ciągle. Działalnosć ta atoli o więcej wzrosnąć mogłaby, gdybyśmy przekonać się chcieli, że jak ziarnko do ziarnka a będzie miarka, tak samo i grosz do grosza a będzie złoty, i rubel i dukat i sto złotych; gdybyśmy przejąć się chcieli tym wzniosłem uczuciem że każdy powinien być panem swego losu i od nikogo nie żebrać pomocy; że żebractwo z małemi wyjątkami jest karą Bożą, zesłaną za naszą niepamięć o przyszłość. Gdybyśmy zauważyć chcieli, że większość złodziei, oszustów i innych łotrów pochodzi z ciemnoty ich umysłu, a ta ciemność dla tego nimi rządzi że ich za młodu nieoświecono, a nieoświecono ich dla tego, że rodzice woleli grosz przepić, kupić obarzanek lub inaczej wydać bezpożytecznie, niżli go odłożyć i obrócić później na wychowanie dzieci. Ciężką i nieodpuszczoną jest winą tych wszystkich, którzy albo samych siebie, albo swoje dzieci doprowadzają do nędzy i występków;—stają się oni winni względem bliźnich, względem swego kraju i względem Wielkiego Boga, stają się ciężarem wszystkich, i brzydkim wrzodem na ciele całego społeczeństwa.

Niech was nie dziwi że z zaniedbania; tak na pozór drobnego przymiotu jakim jest oszczędność i myśl o jutrze, wynikają tak wielkie i tak wielce złowrogie skutki. Zwykle tak bywa że małe są złego początki, ale skutki onych olbrzymie. Te kilka słów moich niech będzie dla was ostrzeżeniem o przykrości jaka was czeka i zachętą do oszczędzań, jako środka robiącego i nam i ukochanej naszej ziemi dobrze. Aby inni zaś nie wymawiali się niewiadomością, podaję wam tu adresa gdzie się mieszczą kassy groszowe:

1) Na Nowem-Świecie, w Zakładzie sieroti chłopców.
2) Na Freta, przy ochronie.
3) Na Ogrodowej, przy ochronie.
4) Na Pańskiej, przy ochronie.
5) Na Czerniakowskiej, przy ochronie.
6) Na Browarnej, przy ochronie.
7) Na Pradze, przy ochronie.
8. Na Waliców i przy ochronie chrześcijańskiej.
9) Na Piwnej, przy ochronie.
10) Za Wolskiemi rogatkami, przy ochronie.
11) Na Chmielnej, przy ochronie.
12) Na Gęsiej, przy ochronie.
13) Na Dzikiej przy Szkole Rządowej żeńskiej.
14) Na Marjańskiej ulicy przy Grzybowie, przy ochronie.

Aleksander Makowiecki.

MALWINA.

Pod tytułem: *Malwina czyli domyślność serca*, wydaną została w r. 1816, można powiedzieć pierwsza oryginalna, obyczajowa powieść polska. Były to czasy, w których literatura powieściowa stała u nas na najniższym stopniu. Z Zachodu, z Francji, wionęły na nas burzą najdziwaczniejsze opinje, wyobraźnia, przekonania i obyczaje nawet, niezgodne nie tylko z przeszłością ale i z duchem naszym. Wszystko co u nas żyło, z małemi bardzo wyjątkami, prawie od połowy XVIII-go aż do początków XIX-go wieku, pragnęło żyć, ubierać się, pisać, mówić, a nawet myśleć pofrancuzku. Mania ta naśladowania cudzoziemczyzny doszła do tego stopnia, że po pałacach i dworach, tam gdzie dawniej leżały pieśni Kochanowskiego, Kronika Kadłubka, Żywoty świętych ks. Skargi, mogłeś teraz zobaczyć jak wszechwładnie rozpościerały się po biórkach i szafkach czułostkowe romanse *Floryana*, pani *de Genlis*, pani *Cottin* i t p. Sprzedawano je nie tylko w księgarniach, ale po straganach i przy kościołach. Każdy ktokolwiek znał język francuzki, karmił się temi niestrawnemi utworami w oryginale, sprowadzając je sobie z Paryża; kto zaś nie umiał pofrancuzku a chciał koniecznie zdążać za modą, czytał je w tłumaczeniu polskiem. Do 1806 r. liczba tłumaczonych romansów doszła u nas do kilkunastu tomów. Chęć czytania była gwałtowna— prawie gorączkowa. I gdyby wtedy Opatrzność dała nam choć jednego z tych mężów, którzy na powieściopisarskiem polu niedawno jeszcze pomiędzy nami tak świetnie zajaśnieli, wierzę, że całe massy byłyby rzuciły francuzczyznę o ziemię. Ale zapomniano złotych słów Kopczyńskiego w przedmowie do jego gramatyki; po polsku mało kto pisał a jeszcze mniej czytał, a i z piszących nawet, jakżeż niektórzy profonowali ten śliczny język Rejów, Bielskich, Górnickich? Zapomniano się tak dalece, szczególnie płeć piękna, iż sądzono że mową macierzystą niepodobna jest jak się należy oddać wszystkich odcieni myśli i uczuć serca. Co za bluźnierstwo! Stan takiego roztroju literackiego trwał aż do r. 1816. Do tego bowiem czasu nie było u nas prawdziwie swojskiej, oryginalnej powieści; gdyż romanse Twardowskiego a szczególniej Morsztyna w XVII wieku, są to poprostu tłumaczenia z francuzkiego, włoskiego i innych obcych nie mają wspólnego z naszemi obyczajami. Nawet Krasicki i Jezierski opisywali, rzec można, niknące dawne zwyczaje i obyczaje; ale nie wydali powieści, nie stawili przed oczy chciwej czytania publiczności tego czego ona pragnęła, nie zgotowali jej pokarmu wzrosłego na własnej glebie, choć czuć było widoczną niestrawność z zagranicznych specjałów.

Był to czas smutny—dla naszego piśmiennictwa.

Lekarstwo na nie dała nam kobieta, *Marja-Anna Księżna Wirtembergska*. Odebrawszy jaknajstaranniejsze wychowanie i wykształcenie, obcując szczególniej po rozwodzie z najuczeńszemi i najzacniejszemi postaciami tamtych czasów, nieraz miała sposobność przysłuchać się gorzkim narzekaniom na cudzoziemczyznę, nieraz zapewne ścisnęło się jej serce widząc brudne obce romanse czytane w miejsce swoich, których nie było, słysząc nierozważne słowa: że język polski jako gruby i nieokrzesany, niezdolny jest do odmalowania delikatnych i wzniosłych uczuć człowieka. Postanowiła zadać temu kłamstwo — i dopięła celu. W roku 1816 wydała w Warszawie powieść podtytułem: *Malwina*, — i niesłychanie wywarła nią na publiczność wrażenie.

Treść tego romansu jest następująca:

Malwina córka bogatych rodziców, ze znakomitej pochodząc familji, wydaną została wbrew własnemu przekonaniu, za starego i majętnego pana. Po czterech latach małżeńskiego nieznośnego pożycia, została wdową mając lat 20, świetne wykształcenie i czarujące wdzięki. Opuszcza zaraz niemiłe mężowskie siedlisko, a przenosi się i osiedla w Krzewinie, gdzie z siostrą cioteczną Wandą spędza czas przyjemnie, dzieląc go na zatrudnienia domowe i zajęcie się losem wieśniaków. Zdarzyło się, że wśród okropnej burzy, piorun uderzył w chatę

będącą własnością dawnej mamki Malwiny, która też na krzyk osiwiałej niewiasty, dąży jej na ratunek. Dom był w płomieniach, a wewnątrz znajdowała się wnuczka rozpaczaczającej staruszki. Malwina rzuca się na ratunek, ale pada zemdlona wśród dymu i iskier. W tej właśnie chwili zjawia się jakiś nieznajomy młodzieniec, który uniósłszy Malwinę w bezpieczne miejsce, sam przedziera się przez syczący ogień i choć raniony upadającą belką, wynosi przecież ocalone dziecko i oddaje je w ręce uradowanej babki. Młodzieńcem tym jest Ludomir, osoba tajemnicza, nieznana, sierota i bez majątku. Pokochawszy przecież piękną Malwinę i zyskawszy jej wzajemność, a widząc że w swojem położeniu niepodobna mu będzie pozyskać ręki tak majętnej osoby, opuszcza Krzewin zadowolony że jest kochanym, że choć idealnie może rozmyślać o swojem bóstwie. Malwina zaś zmartwiona tajemnym jego odjazdem, opuszcza wieś i przybywa do Warszawy, gdzie wchodzi w najpierwsze towarzystwa i poznaje w nich bogatego i godnego szacunku męża, sędziwego Zdzisława księcia Melsztyńskiego. Na jednym z tańcujących wieczorów przedstawiono jej wnuka księcia Melsztyńskiego młodego pułkownika, umizgującego się pięknej kokietce Dorydzie, w którym Malwina poznała kochanego Ludomira. Niestety, stał się teraz dla niej zupełnie obojętnym, a biedna zakochana wielkie staczać musiała walki z swem sercem i dawną miłością, nie mogąc się w żaden sposób ukoić. Ale rzecz się wyjaśnia. Stary książę Melsztyński miał dawniej córkę Taidę, którą aby uniknąć zamęzcia przeciwnego jej uczuciu, z ukochanym Ludomirem ujeżdza z domu rodzica i tajemnie bierze z nim ślub. Ludomir niedługo z ran i zmartwienia umiera a za nim wkrótce i Taida, wydawszy na świat w nędznej wiosce nad granicą turecką dwoje bliźniąt braci, których konając poleciła opiece młynarza, prosząc aby pierwszy syn nosił imię ojca t. j. Ludomira. W dwa lata po tym wypadku, dowiaduje się dopiero książę Melsztyński o smutnym losie swej córki, a zjechawszy do młynarza odbiera od niego jednego tylko wnuka, gdyż drugiego ukradli Cyganie i niewiadomo gdzie się natenczas znajdował. Skradzionem dziecięciem był właśnie ów nieznany i biedny w Krzewinie młodzieniec Ludomir, a bratem jego był nadskakujący Dorydzie pułkownik, którego Malwina wzięła za Ludomira, albowiem nadzwyczajne ich do siebie podobieństwo niedozwalało najmniejszej upatrzeć między nimi różnicy. Po wielu a wielu nakoniec wojennych przygodach, Ludomir ranny, trafem znów przywieziony zostaje do Krzewina, gdzie od Malwiny poznany, dowiaduje się całej tajemnicy swego urodzenia. Rzecz kończy się najpomyślniej. Zdzisław książę Melsztyński przyznaje go za drugiego wnuka, Malwina z nietajoną radością oddaje mu swą rękę, a lekkomyślny pułkownik brat jego, poślubia żywą i wesołą Wandę.

Oto jest treść tej pierwszej oryginalnej polskiej powieści — i pokazało się, że język nasz zdolny jest do wyrażenia i odmalowania wszystkich myśli, wszystkich wrażeń i uniesień serca. Owszem, romans ten może jest zanadto czuły i sentymentalny, ale kiedy rozważymy że go napisała kobieta z sercem bolejącem nad powodzią francuzczyzny, kiedy się zastanowimy że była to pierwsza niejako u nas próba na polu prawdziwego powieściopisarstwa, kiedy nam przedewszystkiem staną przed oczyma błogie skutki jakie swojem pojawieniem się wywołała wśród publiczności—zarzuty, jakiekolwiek być by mogły, upadają przed zasługami, niby mgła pod promieniami słońca. Postacie narysowane w *Malwinie* są wyborne i mistrzowskie. Malwina i Wanda to typy naszych niewiast, nie widać tu żadnego naśladownictwa. Nikt nie znajdzie ani jednego ustępu, za który rumienićby się można. Wszystko zacne, poczciwe, szlachetne. To też po ukazaniu się téj książki z druku, czytano ją z niesłychaną chciwością, a co nadewszystko jest ważnem: że liczne zdolne umysły, zachęcone przykładem powodzenia autorki *Malwiny*, poczęły od tej pory częściej pisać po polsku, i różne oryginalne a zajmujące raz po raz wydawać powieści, które po niejakim czasie zupełnie nam zastąpiły francuzkie, a nawet niektóre je przewyższyły nie tylko treścią ale i formą.

Że *Malwina* pożądanym była w swoim czasie pokarmem, niech nam posłużą za dowód liczne jej wydania. Jak już wspomnieliśmy: 1) wyszło w Warszawie 1816 r. w 2-ch tomach in 8-vo, 2) w Warszawie 1817 r. z rycinami. 3) 1821 r. 4) 1828 r. Na język francuzki przetłumaczoną została r. 1817, Anna Nakwaska w 1822 r. w Paryżu wydała nowe jej tłumaczenie; zaś w 1834 r. wyszła w Moskwie, w przekładzie ruskim. *Fr. G.*

S I K O R A.

Mało zapewne znajdzie się takich ludzi, którzyby nie znali tego ptaszka; ale zapewne wielu jest takich, którzy niewiedzą, że tego pożytecznego ptaka jest aż trzydzieści gatunków i że ta drobna, zwinna, żwawa i złośliwa nawet ptaszyna, niedługo żyje w klatce, że zatem z tego powodu i pożytku, jaki wyświadcza człowiekowi, żywiąc się owadami oraz ich poczwarkami i jajkami, powinni wszyscy starannie przyczyniać się do rozmnażania się sikory.

Ptaszek ten przebywa w lasach i sadach, ciągle przelatując z drzewa na drzewo i zawieszając się w rozmaitych położeniach. Oprócz ogromnej ilości owadów, jada on także i rozmaite ziarno, które ująwszy w szponki, rozkuwa dzióbkiem jego łupinę. Sikory gnieżdżą się w gotowych dziuplach lub w umyślnie wykutych na wzór dzięcioła w zbutwiałych pniach, albo w gęstych krzakach, w odpowiednio do tego uwitem gniazdku. Jajek znoszą od 8 do 20; są one białe, ceglasto nakrapiane. Sikora *ogoniatka* tka bardzo misterne gniazdo na gałęziach z cienkich trawek, włókien, mchów i porostów, w formie budki całkowicie zamkniętej z ciasnym tylko otworem. Ptaszek ten jest bardzo nieostrożny; daje się z łatwością łowić w sidła i potrzaski, a nawet tyle nieoględny, że wypuszczony i kilka razy znowu wpada w te same łapki. Złapane nie tracą śmiałości, ale (jak powiedzieliśmy) nie znoszą niewoli, wkrótce zdychają. W Europie znajdują się następujące gatunki:

1) *Sikora bogata*, z wierzchu zielonawa, od spodu żółta z czarną głową, szyją i pasem przez środek spodu, bardzo pospolita w lasach i ogrodach drzewnych. 2) *Sosnówka*, podobna do pierwszej, lecz o wiele mniejsza, z popielatym wierzchem i białym spodem; żyje w lasach. 3) *Modra* z błękitną głową i skrzydłami, żółtym spodem

i grzbietem zielonawym; żyje pospolicie w lasach i przy zabudowaniach. 4) *Błękitna* z białą głową i spodem, błękitnem grzbietem i skrzydłami; żyje w stronach północnych i rzadko tylko zalatuje ku południowi. 5) *Uboga*, szara z czarną głową i białym spodem; tak samo jak *Bogata*, jest bardzo pospolitą i żyje w lasach i ogrodach. 6) *Północna*, należy jak się zdaje do rasy poprzedzającej, bardzo bowiem jest do niej podobna, ale tylko zimą daje się spostrzegać. 7) *Czubata* czyli *Koziołek*, szara z białym spodem i czubkiem spiczastym na głowie; żyje po lasach. 8) *Ogoniatka* jest biała z rudawym grzbietem i czarnemi skrzydłami, ogon ma długi stopniowany; w lasach jest pospolitą; nakoniec 9) *Wąsatka*, która żyje tylko w gub. Podolskiej; bardzo ozdobna, z długim ogonem i czarnemi, długiemi, odstającemi w postaci wąsów, kępkami piór po bokach główki; trzyma się w trzcinach, gdzie zawiesza sztucznie bardzo uwite gniazdo.

maluje straszliwe płomienie czyszczowe, wśród których wykrzywiają się najokropniej nieszczęsne duszyczki o wybladłych twarzach, z kroplistemi łzami na oczach; przy nim siedzi żona zajęta układaniem wykończonych juz obrazków, a obok komina sędziwy dziaduś ciosający z kosodrzewia rycerską postać Świętego Florjana, tego skutecznego obrońcy od pożaru, którego figurę w każdej napotykamy wiosce, i uśmiecha się starowina rad swojemu dziełu: już hełm wykończony, pancerz nieporównanie naśladowany, krzepka dłoń dzierży naczynie do gaszenia ognia, jeszcze tylko kilka pociągnień pędzla, a posąg przybierze wszystkie oznaki życia. Święty ten patron, używa zawsze największej czci wśród pobożnych mieszkańców Tyrolu.

Oprócz Świętego rycerza, znajdziecie tam pełno krzyżów i krzyżyków rozmaitej wielkości i koloru i mnóstwo obrazów Przenajświętszej Królowej Niebios, jak je tam zdołał pojąć i wykonać poczciwy wiejski artysta. Wszystkie te zapasy dzieł sztuki spoczywają przez całą zimę w chacie, a skoro tylko wiosenne słonko stopi śnieg na dolinach, a odgłos fletów pastuszych obije się o ściany gór spadzistych, całe rodziny podobnych przemysłowców puszczają się w drogę od wioski do wioski, i powracają następnie z kieskami pełnemi drobnego grosiwa, pod rodzinną strzechę. Oprócz świętości, noszą jeszcze ci wędrujący handlarze miski i łyżki drewniane, okuwane kije dla górali, a często nawet i stucznie wyrzynane główki do lasek, używanych przez zamożniejszych ludzi.

ROZMAITOŚCI.

— Handlarze Świętości w Tyrolu. Jeżeli kto z was kochani moi czytelnicy, przypomina sobie mały artykuł o Haftarkach Szwajcarskich, zamieszczony w roku 1865 w 50-m N-rze Opiekuna Domowego, i przeniósłszy się myślą w owe odległe strony, z przyjemnością i współczuciem spojrzał na chwilę na to grono pracowitych gór mieszkanek, pochylonych nad tak mozolnem zajęciem, — tedy wezwę was na nowo w podobną wędrówkę do również górzystego, choć nie tak odległego od nas Tyrolu. Tym razem także nie uchylę przed wami pysznych podwojów magnata ani drzwi fabryki, gdzie wśród łoskotu kół, bicia młotów i brzęczenia wyrabianego kruszcu, długobyśmy się zatrzymać musieli, zanim przed oczyma naszemi rozwinąłby się jasno kwiat myśli, lub owoc pożytku; ale po prostu zawiodę wraz z sobą do cichej wieśniaczej chaty i na okopconem tle niewielkiej izby, ukażę wam ludzi uprawiających dziwną gałęź przemysłu, popłacającą hojnie wpośród Tyrolskiego ludu. A poczciwy to i gorliwie zamiłowany w katolicyzmie ludek ci Tyrole, pełno tam u nich kościołów i kapliczek przy drogach, a w każdej choćby najuboższej chacie, znajdziesz mnóstwo posążków i obrazów świętych, choć niezbyt artystyczną lecz pobożną wykonanych ręką, a pod temi krzyżami i wizerunkami religijnemi, zamiast naszych wianeczków poświęcanych w Boże Ciało, napotkasz wszędzie i ową gałęź wschodniego ciernia, przypominającą krwawą koronę Zbawiciela, i odłamek oliwnego drzewa, i nareszcie gromnicę, którą pobożny wiaściciel chowa sobie na straszną chwilę śmierci, — słowem wszystko, co nam tak rzewnie przypomina nasze własne rodzinne chaty, wśród których w błogim pokoju duszy rodzą się i umierają krzepkie pokolenia wieśniaków. A teraz spojrzycieno na tę izbę założoną najrozmaitszemi narzędziami: tuż pod samem oknem, nad długiem płótnem czarno zaciągniętem, pochylił się młody gospodarz domu i maczając pędzel w czerwono-żółtej farbie



Sikora czubata (od str. 159).

KORRESPONDENCJE OD REDAKCJI
Opiekuna Domowego.

—*Pani Z. Z. w Warszawie.* Wiersz pod tytułem „Matka“ tłumaczony z francuzkiego nie zawiera w sobie nic szczególnego, ażebyśmy go w tłumaczeniu mieli drukować, prosimy więc o wyrozumiałość i o łaskawe nadesłanie nam czegoś lepszego.

—*Pani...... w Warszawie.* W istocie zmniejszenie liczby prenumeratorów głównie dzieje się na prowincji i zapewne pochodzi wskutek zmiany sposobu przesyłki. Mylne są atoli pogłoski jakoby *Opiekun* wciągu kwartału miał zaprzestać wychodzić.—A spodziewać się należy, że *Opiekun* liczy jeszcze pewną liczbę tak samo jak Pani życzliwych sobie, którzy zachętą innych do prenumeraty, powstrzymają pismo od upadku. Gdyby publiczność wiedziała jak trudno założyć nowepismo i jak trudno zebrać nowe kółko współpracowników z wspólną myślą niesienia pożytku; z pewnością nieżałowałaby małego wydatku, choć by przyszło jak pisze Pani *i tańszy kapelusz nosić przez lato.* Upadek każdego pisma, z wyjątkiem tendencyjnie szkodliwych, jest zawsze stratą dla społeczeństwa, boć każde pismo a szczególniej jak *Opiekun* pracującej klassie poświęcony, wyrabia sobie pewną garstkę stałych czytelników, z korzyścią odczytujących zadrukowane karty — a gdy pismo przestanie wychodzić, większa część tych czytelników niewiedząc gdzie szukać dla siebie stosownego duchowego pokarmu, bardzo często odwyka od czytania i przestaje się oświecać. A oświata jest źródłem szczęśliwości doczesnej, zachętą do czynienia dobrze drugim i środkiem do zbliżenia się do Boga, do osiągnięcia szczęścia wiekuistego. Oświata zbogaca, i uszczęśliwia na wieki — ciemnota jest matką niedołęztwa, ubóstwa, występków a często i zbrodni. — Projekta Pani są dość praktyczne i pomówimy o nich w innem piśmie.

—*Pannie Z. S. pod Warszawą.*—Artykuł „Dwie Matki“, w Opiekunie Domowym drukowany nie będzie.

— Panu *Wołodemu* w Dreznie. Przypominamy *Bajeczki Dziadunia* i inne artykuły z drzeworytami. Łamigłówka algebraiczna drukowaną nie będzie.

w Drukarni J. Jaworskiego.—Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.—Redaktor, Adam Mieczyński.